ŁOWIEC POLSKI



Podwieczorek nad potokiem Michajewym. Karpaty. Fot. Wł. Müller.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ.

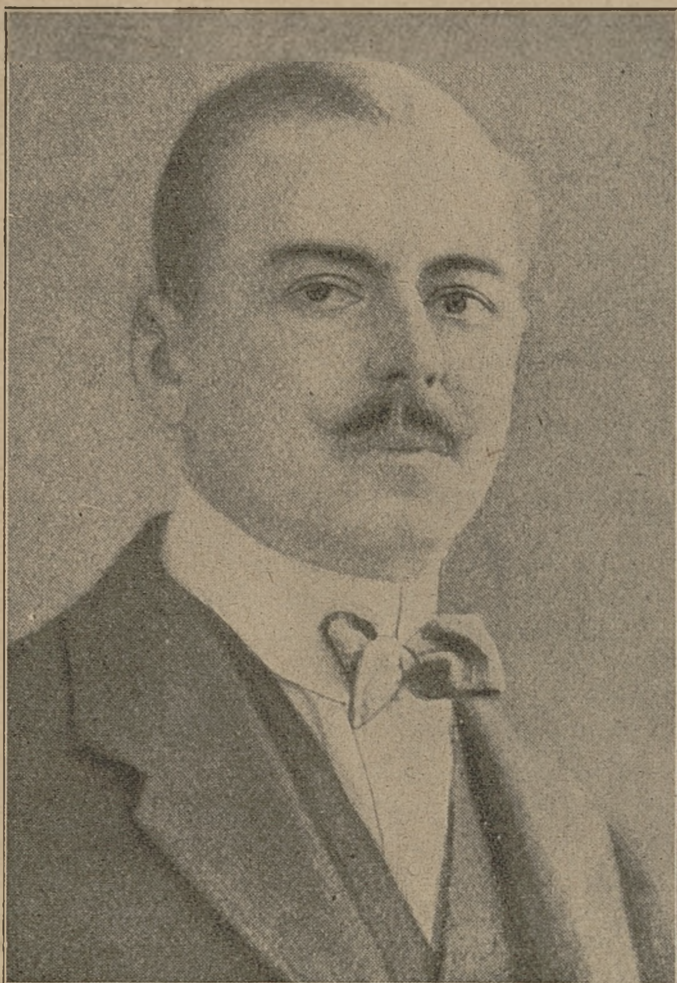
NR. 46 (600). 15 LISTOPADA 1930 R.

Wścieklizna i nosacizna.

W kancelarji urzędu powiatowego, woźny zwraca się do registratora:

— Pan naczelnik prosi o akta wścieklizny psów w gminie X.

— To nie do mnie. Wściekliznę ma kolega Meier. Ja mam tylko księgosusz i nosaciznę.



Ś. P. STANISŁAW LILPOP.

Odszedł od nas jeden z wodzów łowiectwa polskiego, na wielką miarę zakrojony myśliwy z najlepszych najlepszy, mąż wielkiego umysłu, energji, pracy i serca, ten, co łowiectwo polskie godnie reprezentować i dzielnie a mądrze ku lepszemu jutru prowadzić potrafił.

Ś. p. Stanisław Lilpop należał do tej samej plejady pierwszorzędnych myśliwych z b. zaboru rosyjskiego, co ś. p. Sztolcman, Rożyński i inni, którzy w dziejach rozwoju łowiectwa polskiego tak piękną dla siebie umieli zapisać kartę. Cechowało ś. p. Lilpopa wielkie, do specjalnego kultu doprowadzone umiłowanie łowiectwa pojmowanego i traktowanego głęboko, szlachetnie i po rycersku.

Rycerzem też z pod sztandaru św. Huberta był ś. p. Lilpop bez skazy. Cechowała go wielka głębokość i wszechstronność wykształcenia łowieckiego, połączone z wielkiem doświadczeniem zdobytem w ciągu długoletniej praktyki. Posiadając odpowiednie warunki, zasłynął też ś. p. Stanisław Lilpop w krótkim czasie jako pierwszorzędny hodowca i znawca wszystkich spraw z łowiectwem związanych.

Umiłowanie jednak łowiectwa nie poszło u ś. p. Lilpopa, jak to się, niestety, zdarza jedynie w kierunku egoistycznego zadawalniania własnej żyłki myśliwskiej. Ś. p. Lilpop uważał, że każdy myśliwy ma obowiązek przyczyniania się w miarę sił i możności do rozwoju łowiectwa. Głęboki i szlachetny sposób pojmowania łowiectwa prędko też pchnął ś. p. Lilpopa ku szerokiej działalności społecznej w tej dziedzinie, a walory, które osobiście reprezentował, wysunęły go niebawem na czoło myśliwych polskich. W szerokiej, owocnej działalności, którą na terenie b. zaboru rosyjskiego rozwijało przed wojną obecne Polskie Towarzystwo Łowieckie, ś. p. Stanisław Lilpop brał czynny i gorący udział.

We wszelkich a licznych przedsięwzięciach podejmowanych przez Polskie Tow. Łowieckie, wystawach, próbach, wydawnictwach, z Łowcem Polskim na czele, ś. p. Lilpop, niemal zawsze odgrywał rolę inicjatora i kierownika. W wielu z nich zasłużoną też zdobył sławę. Słynną była urządzona przezeń i tylko dzięki Niemu, pierwsza wystawa łowiecka w Warszawie, słynne zwierzostany i polowania w prowadzonych przezeń terenach łowieckich we własnym Brwinowie, Kółku Młochowskiem i innych.

Gdy Państwo Polskie ponownie uzyskało swój byt niezależny, ś. p. Lilpop wystąpił do pracy zbrojny już w wielką wiedzę i doświadczenie. Wystąpił z całym zapałem i oddaniem się sprawie. Działając w Komisji Łowieckiej Polskiego Towarzystwa Łowieckiego, wkrótce wraz z innymi wybitnymi myśliwymi Polski powziął myśl stworzenia Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, który też w krótkim czasie powołał do życia. Powołany na Wiceprezesa Związku i Przewodniczącego Wydziału Wykonawczego jął podnosić z powojennego upadku i organizować łowiectwo polskie. Niestrudzony w pracy i zabiegliwy, świetny organizator, umiejący we właściwym czasie wejrzeć we wszystko i wszystko przewidzieć, a współpracę i działalność innych wykorzystać we właściwy sposób, prędko też osiągnął to, że rozwój Związku i jego spraw przyjął bieg pomyślny i począł kroczyć od powodzenia do powodzenia. Nie było sprawy, któraby nie przeszła przez ręce lub kontrolę ś. p. Lilpopa, wszędzie był i o wszystkiem pamiętał.

Powołanie ponowne do życia „Łowca Polskiego" już jako organu Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, też oczywiście odbyło się przy osobistym i finansowym współudziale ś. p. Lilpopa. Umiał on też zasilać „Łowca P." swymi artykułami podpisywanymi „Stanli", dotyczącymi przeważnie hodowli zwierzyny, a pisanymi pięknym stylem i z niezwykłą erudycją łowiecką. W opracowaniu polskiego prawa łowieckiego brał czynny i gorący udział, swemi cennemi uwagami wpływając na niejedno z jego postanowień.

Wreszcie ostatniem dziełem na terenie Związku był jego czynny i żywy współudział w opracowaniu i przeprowadzeniu nowego statutu Związku, który w znakomity sposób uregulował jego sprawy organizacyjne. Polskiemu Związkowi Stowarzyszeń Łowieckich ś. p. Lilpop oddał usługi niespożyte.

Pracując we wszystkich dziedzinach mających związek z łowiectwem polskiem, i pragnąc je uniezależnić od zagranicy, ś. p. Lilpop był jednym z założycieli i kierowników Warszawskiej Spółki Myśliwskiej i niedawno powstałej Warszawskiej Fabryki Amunicji.

Niestety, w ostatnich czasach zdrowie zaczęło niedopisywać ś. p. Lilpopowi, odbierając mu możność pracy nawet w zakresie tak ukochanych przezeń spraw łowieckich, by wreszcie tak przedwcześnie usunąć Go z naszego grona.

Cały polski świat łowiecki ze ściśniętem sercem i gorzkiemi łzami opłakuje utratę swego zasłużonego, znakomitego i ukochanego wodza, który tak godnie sztandar św. Huberta w rękach swych dzierżyć potrafił.

WALENTY GARCZYŃSKI.



WSRÓD HUCUŁÓW I JELENI.

(Zob. Nr. 45).

Po „zakolacjonowaniu" wszyscy huculi rozciągają się na sianie, zwróceni bosemi nogami do ognia i w cichnącej stopniowo rozmowie — zasypiają.

Iwan co czas jakiś wstaje w nocy jako watrak, poprawia watrę i dokłada do ognia po kawałku drzewa z przygotowanego stosu; czasami budzę się, ale zaraz zasypiam, a rano, kiedy prawie jeszcze ciemno, wstajemy. Woda już gorąca. Herbata i kawałek chleba z masłem tymczasem wystarczy.

Michajło wychodzi na „Suchy Gruń", Wasyl na „Kałynowatyj". Ja z Makowiejem na wczorajsze miejsce, gdzie w pół godziny już jesteśmy.

Na razie nic nie widać przed sobą; wszystko zakryte siwymi, ciężkimi obłokami.

Mgła kroplami osiada na twarzy, chłodem i wilgocią pokrywa nas i wszystko, co nas otacza.

„Silna mraka, ale witer progonit" pociesza Makowiej.

I rzeczywiście; choć wiatr nie duży, lecz stopniowo przenosi kłębiące się nad lasami chmury, rozbijając je o spotkane połoniny.

Niebo coraz czyściejsze wyglądało pomiędzy górami.

Za nami czerwienieje już kontur „Skupowej".

— Słońce podyma się, budie pogoda — zauważył Makowiej.

Wtem słyszymy znowu te same szmery, co wczoraj i w tem samem miejscu. Chwilami jeszcze bliżej coś się przesuwa, ale nic wypatrzeć nie możemy.

Zdaje się, chodzą 2 sztuki razem. Trzecia opodal.

Makowiej obiecuje sobie w dzień „spenetrowati slidy".

Tak nasłuchując i uważając, doczekaliśmy się, że spokojnie oddaliło się wszystko w tym samym kierunku, co wieczorem.

Gdzieś z „Pochreptyny" doleciał nas wyraźnie głos grubego byka; odezwał się dwa razy — więcej nie doczekaliśmy się powtórzenia głosu.

Dziś zamierzam iść na dół do Jawornika, gdzie nadjechać mają nareszcie, oczekiwani przyjaciele i towarzysze myśliwi.

Po powrocie do stai i gruntowniejszej przekąsce, doczekawszy się Wasyla i Michajła, obmyślamy dalsze czynności; Makowiej idzie posłuchać dziś wieczorem i jutro rano na Mozirne; Michajło znowu na Suchy Gruń, gdzie już dziś słyszał jelenia.

Z Wasylem idę do Jawornika.

Po drodze mijamy na połoninie sąsiednie staje, w których jeszcze na dłużej niektórzy pozostali z bydłem i owcami. Przy ścieżce pasie się koń; nosi jakieś jarzmo na karku. Przyglądam się ciekawie, co to być może? Dwa rozwidlone kawałki drzewa wiszą sznurkiem na grzywie związane, pod szyją łączą się w półmetrowy, zwisający na dół klocek średnicy — 10 centym. Od frontu pionowo weń wbity kołeczek, jak wieszak do kapelusza.

Wasyl objaśnia, że wieszają to koniom, które wyskakują z ogrodzenia: kołeczek ten zawadza o drut i nie pozwala koniowi spiąć się do skoku.

Ciekawy jestem, czy przy tej okazji nie pokaleczy to konia? W każdym razie pomysł prosty i dowcipny. A znane u nas pętanie koni tutaj nie jest stosowane, gdyż grozi to większem niebezpieczeństwem: naraża na nierównym terenie na łatwiejsze przewrócenie się konia, utrudnia ruchy, szczególniej, gdy wilki konia otoczą; koń dłużej bronić się może, mając wolne wszystkie cztery nogi.

Tem i wieloma innemi objaśnieniami bawił mnie Wasyl przez drogę.

Schodzimy coraz niżej; już szum Czeremosza słychać,ale iść jeszcze dość długo trzeba, aby zejść na równy brzeg, trawą obficie porośnięty; miejsca te traktowane są tutaj jako łąka. Obecnie przyglądam się, jak koszą potraw czyli „otawę": kosy znacznie mają dłuższe od naszych, kosiska zaś krótsze, tak, że kośnik musi się nachylić zupełnie do ziemi, aby pociągnąć kosą z rozmachem. Pokos za to brany z wysiłkiem jest szeroki; kosy te obliczone na teren pochyły, używane są i na równych kawałkach, co wtedy robi wrażenie niepotrzebnie męczącej pracy. Jesteśmy na przeciwko przeprawy, więc Wasyl już gotów i po szczęśliwej przejażdżce wypuszczam go z uścisku na drugiej stronie wody.

Przy obiedzie z panem G. dzielimy się nowinkami; ustalamy, że rykowisko rozpoczyna się właśnie już u nas, jak również na sąsiednich terenach podobno też „pobekują".

Tylko śladów wilczych zatrważająco dużo spotyka się wszędzie. Więc jedno cieszy, a drugie smuci, ale na ogół radośnie jestem usposobiony, gdyż cieszy mnie przyjazd oczekiwanych towarzyszów dalszych operacyj myśliwskich.

Konie wysłane już wczoraj, za parę godzin powinny nadjechać. Czas więc na wypoczynek, a z każdej chwili należy korzystać, gromadząc i zachowując siły na nieprzewidziane trudy.

Leżąc już na łóżku, obserwuję przez okno znany stok Studienika, który zakrywa całe prawie okno, kończąc się paskiem nieba w górnej części okna.

Widok ten, pamiętny od zeszłego roku, stale widzę w oknie ze swego łóżka. Spostrzegam, że liściaste drzewa i krzewy znacznie pożółkły, od ostatniej mojej bytności tutaj.

Po drzemce wychodzę przed dom na drogę i nasłuchując, wypatruję mających, według obliczeń, lada chwila nadjechać towarzyszy.

Wkrótce słychać klekot wózka po kamieniach, potem dudnienie na poblizkim moście i znajome konie skręcają w podwórko, dźwigając pod górę, z radością oczekiwanych pasażerów uśmiechniętych wesoło i dobywających nogi z pośród waliz i licznych pakunków.

Serdeczne powitanie, wymiana najciekawszych wieści i wśród gwaru, w którym najczęściej słychać słowa: ryczy, ryczał, jeleń, niedźwiedź, wilki, i t. d. wchodzimy do domu.

Rozpakowywanie rzeczy, dowcipkowanie i porządkowanie zdawanych relacyj, które powtórzyć mam od początku ze szczegółami.

Otrzymuję od Władzia, jako dowód pamięci, prezent: niewielki drobiazg, ale wielkie mogący oddać usługi w górach Wręczenie go spowodowało ogólną wesołość.

Przy stole jadalnym, jeszcze raz obgadywane są, ze szczegółami, najciekawsze wiadomości co do rykowiska i odpowiednio robione plany co do kierunku wymarszu w góry i zajęcia poszczególnych rewirów.

Przybysże, myśliwi wyrwawszy się z kłopotliwego świata. niechętnie udzielają wiadomości, co się tam dzieje, chcąc raczej zapomnić o nim i przejść czemprędzej do życia nastrojonego na nutę łowiecką.

Radosne chwile przerywa smutna relacja udzielana nam przez gospodarza, tycząca się detali o ohydnej zbrodni dokonanej przed paru miesiącami na jednym z najlepszych naszych strażników łowieckich. Dramat wynikł na tle nieprzyjaznych stosunków z jednym z kłusowników, przyczem dużą rolę odegrała tu kobieta, która była przyczyną zabójstwa i jakoby wspólniczką.

W miarę napływających raportów do leśniczówki, przez „pobereżników", plany ulegają pewnym zmianom, a deszcz, który nazajutrz od rana rozpadał się beznadziejnie, zatrzymał nas w domu. Wogóle pogodę mamy bardzo zmienną i jesień nie mogła się ustalić, co ujemnie wpływało i na rykowisko. Pocieszamy się, że czasu mamy dużo przed sobą, że jeleni jest sporo i że w końcu doczekamy się pogody, pójścia w góry i użycia uciech myśliwskich. Wychodzimy na drogę, gdzie już bez przerwy ciągną stada owiec i bydła sprowadzane z połonin.

Pastuchy niosą z sobą „trębity": instrument z drzewa, długości paru łokci, na nim na połoninach niektórzy dość wprawnie trąbiąc, wygrywają melodje, przeważnie swojej kompozycji, które same nie są tak ładne, ale głos roznoszący się echem w górach bardzo dźwięczny i miły. Trębity te służą także do dawania sobie sygnałów, jako też i do zwoływania stada rozproszonego po lesie. U nas pastuchy nazywają instrument ten „ligawką".

Jeden z zatrzymanych przez nas, posiadaczy ligawki takiej, oznajmił nam, że na górach już „zima"; znaczy, śniegi spadły; jelenia słyszał, ale gdzieś na obcym terenie.

Na zakończenie, usłużny pastuszek pokazał, jak się gra, to jest trąbi w ten instrument. Muzyka ta zachwyciła nas tembardziej, iż żaden z nas nie mógł wydobyć innego tonu oprócz jakiegoś prukania.

Wieczorem przyszedł Makowiej i oznajmił, że po mem odejściu koło naszej stai wilki zadusiły konia i w nocy powracały do niego.

Następny ranek zapowiadał pogodę tak, że Witold wyrusza ze swoim taborem na Burkut i Pochrebtynę, ja po południu wracam na Ludową, gdzie nadejść ma Władek dnia następnego; wieczorem zamierza on jeszcze posłuchać najbliższego rykowiska, a rano, po drodze, zbadać „Kałynowatyj".

Wyruszam więc w drogę, zabierając z ogólnych zapasów, potrzebną żywność.



Toaleta po wypoczynku. Fot. St. Leski.

Przez Czeremosz już mogliśmy przeprawić się na przygotowanym promie.

Idziemy dość szybko, gdyż pragnę dziś jeszcze sprobować zasiąść na czaty na wilki, które odwiedzają konia.

Po dość długim marszu pod górę, siadamy na odpoczynek, ja obok Makowieja a Wasyl przed nami na ziemi.

Palimy, rozmawiamy, dym unosi się około nas. Wtem siedzący obok Makowiej nachyla się trochę, ściska mi kolano i szepce „bek, bek". Widzę, jak Wasyl łypnął oczami, gdzieś za moje plecy i przycupnął za klocem. Czuję, że coś za mną chodzi, odwracam powoli głowę i raczej odczuwam niż widzę, sylwetkę dużej sztuki po zielonym, puszystym mchu zbliżającą się wolno z góry na dół. Kolor zwierzęcia wydaje mi się ciemnostalowy, na razie myślę, czy nie jest to duży dzik; kiedy ostrożnie odwróciłem się i dobrze już widzę, poznaję łanię,

która podniosła nos, formą przypominający dziób kaczy; widzę, jak porusza chrapkami, czując nas widocznie; dziwię się, że nie spostrzegła nas dotąd.

Makowiej szepcze „niech pan strelaje".

Myślę, że to może szpicak, nie łania, ale czyżby namawiał mnie do strzelania takiego byczka?

Kiedy powtórzył „gromadnyj byk" — zrozumiałem, że widzi on gdzieś drugą sztukę; z bólem szyi wykręcam więcej głowę, nie chcąc ruszać się cały i spostrzegam o parę kroków za łanią, stojącego, wspaniałego byka.

Podniósł łeb ozdobiony przepysznymi wieńcami do góry i stoi jak posąg, na tle szmaragdowej zieleni puszystego mchu; jest znacznie jaśniejszy, więcej żółto płowy, od łani. O strzale mowy niema, gdyż jestem odkryty i najmniejszy ruch spłoszy mi tylko cudowny obrazek, nim zdążę się złożyć. Zachwycam się miłym, niecodziennym widokiem, głównie zwracając uwagę na wieńce, które sterczą wysoko, rozłożone dobrze, z wieloma „pasemkami". Probuję dopomóc sobie lornetką, do obliczenia korony i kiedy zrobiłem nieznaczny ruch łokciem, biorąc lornetkę, łania dała z miejsca susa w bok, za nią byk i dźgnęły razem jak dwie strzały, ginąc w kępie krzaków obok rosnących; słychać było tylko, jak rwały z szelestem i chrupotem przez podszycie lasu, i ucichło wszystko.

Makowiej i Wasyl zrozumieli, czemu nie strzelałem, a sam nie żałowałem utracenia sposobności do strzału w tem przygodnem spotkaniu; choć trofeum ładne, ale pocieszam się, że ryczącego przyjemniej podejść i zdobyć. Czasu jeszcze dużo; może się uda, — sezon dopiero się rozpoczyna.

Makowiej trochę nierad z wyniku, zbiera się do drogi: wstaje, kładzie obydwa otwory serdaka na głowę, przez co sam serdak podwójnie złożony służy jako zabezpieczenie ramienia od przewieszonego ciężaru. Idąc, mijamy na ścieżce tropy naszych jeleni, których silnie odciśnięte kopyta dają mi możność porównania śladu łani i byka, oraz ocenienia, jaki trop daje taki byk, jakiego miałem przed sobą; na wilgotnej trochę ziemi mocno wyciśnięte, rozszerzone ślady racic i szpilek, w paru miejscach znać poślizgnięcie się, a dalej po trawie i mchu tylko czarne miejsca rwane w silnym biegu racicami.

„Miensa i dziś jeszcze nie budie" uśmiecha się Wasyl „utiekło w lis".

„Lis" mówi się o lesie, a kiedy o lisie mowa, wymawiają „les".

Po drodze już na połoninie mijamy zagrodę jeszcze nieopuszczoną; „kutiuga" oszczekuje nas, a o 200 kroków dalej spotykamy hucuła, z którym serdecznie wita się Makowiej, naturalnie pyta o jelenie; dowiadujemy się, że parę razy słychać było głos „no nie rozumno" (nie wyraźnie). O bytności wilków objaśnia nas również i zachęca do tępienia ich, skarżąc się na szkody, jakie wszędzie czynią. Po przymówieniu się Makowieja o rzętyce, staruszek idzie chętnie do chaty i przynosi rzętyce i osobno mleka dla mnie; częstuje gościnnie, aby się napić. Mleko żółte i gęste po żyznej paszy; wypiłem trochę, aby zaspokoić gościnność gazdy i znając już obyczaje tutejsze, nie proponowałem nawet zapłaty, o czem zresztą uprzedzał mnie Makowiej.



Podsłuchy. Fot. Wł. Müller.

„Tylko w mieście za wszystko groszi prosiat" tu u nas w górach wystarczyć musi i nam i gościom. Poczęstowaełm gazdę papierosem.

„Pięknie djakuje" odpowiedział zadowolony, bardzo był uprzejmy i rozmowny. Prosił, żeby zawsze wstąpić, gdyż on zostaje tu jeszcze „tyżdeń jeden".

Pożegnanie uściskiem dłoni, „Iditie z Bogom" i po godzinnym marszu stajemy na miejscu.

Makowiej idzie na podsłuchy, ja z Wasylem na zasiadkę, na wilki.

Po drodze spotykamy zagrodę, gdzie Wasyl pokazuje mi miejsce, skąd wilki wykradły dwie owce; gęste, kolczaste druty rozepchnięte i wyrwane ze słupa w jednem miejscu; na kolcach drutów i na ziemi kłaki wełny z wyciąganej owcy.

Obecnie pusto tutaj, gdyż mieszkańcy poszli już w „dołynu", to jest, udali się z inwentarzem do zimowisk.

Dochodzimy do zabitego konia. Leży tylko pół zadu z nogą, oraz noga przednia i żebra. Reszta porozciągana przez wilki po lesie.

O 60 kroków wyżej, w jamie wyrwanej granatem, wygodnie zasiadam, dobrze schowany. Wasyl obstawił mnie chróstem znajdującym się obok; siada koło mnie i czekamy tak na wizytę wilków. Wiatr mamy dobry — od konia i od lasu, skąd spodziewane są rabusie; księżyc świeci dość jasno, aby strzelać można było; jest chłodno, ale na noc zapowiada się pogoda.

Z ukrycia naszego moglibyśmy słyszeć jelenie ryczące na 2-ch rykowiskach.

Noc już nadchodzi. Przy świetle księżyca probuję celować. Jest na to dość widno, więc aby nie mieć sobie nic do wyrzucenia, wyczekuję jaknajdłużej, choć nie wierzę od początku w pomyślność tej wyprawy, wiedząc, jak rzadko się one udają.

W nagrodę jakby, odezwało się parę razy przeciągłe, doniosłe ryczenie gdzieś ze Szpetkiwskiego. Kiedy księżyc chował się za górę i niemożliwe było strzelać, Wasyl odrzekł, że „pusto już czekati" (napróżno czekać), więc zziębnięci po nieudałych czatach wracamy do domu.

Nie miałem zawodu, bo nie liczyłem na pomyślność wyniku, traktowałem to jednocześnie jako podsłuchy. Michajło nadszedł wkrótce i oznajmił, że słyszał wyraźnie dobrze ryczącego byka na „Suchym Gruniu". Makowiej także słyszał parę razy, jak „bękał" na Ozirnem.

Jutro więc Michajło ma iść sprawdzić jeszcze rykowisko, a ja z Makowiejem wybieram się na miejsce podsłuchów poprzednich. Rano „mraka" zapowiadająca deszcz; posłuchaliśmy trochę i bez rezultatu, przed zbliżającym się deszczem uciekliśmy do domu.

Z niecierpliwością oczekuję Władzia, gdyż wobec wiadomości niepomyślnych, trzeba udać się na Suchy Gruń, korzystać, że tam zaczęło się rykowisko.

Deszcz coraz lepszy i bez przerwy pada z małemi osłabieniami.

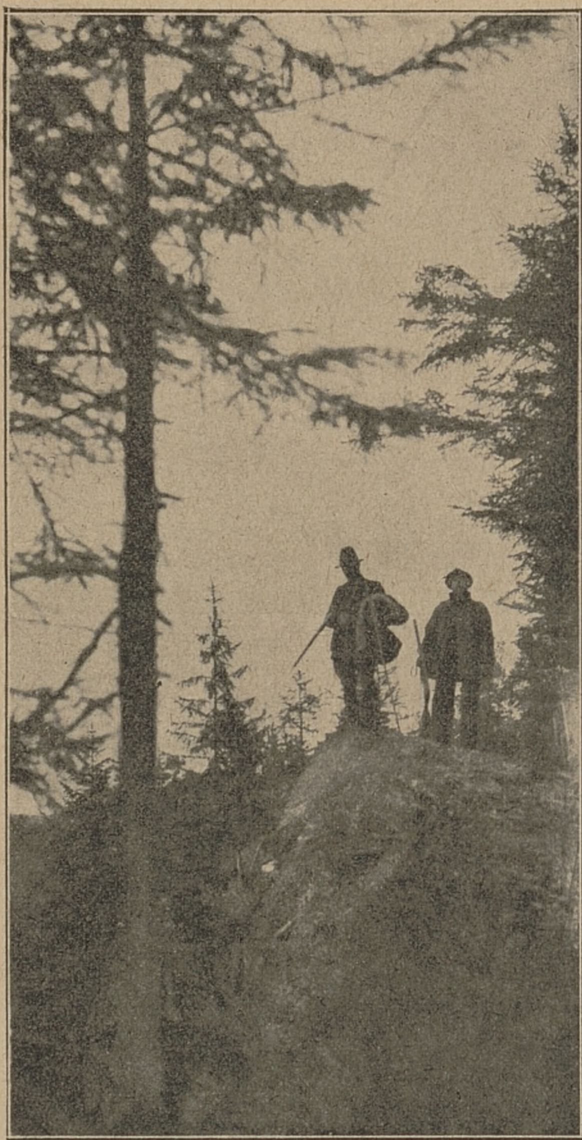
Porządkując swoje rzeczy, słyszę kroki zbliżających się ludzi i rozmowę; we drzwiach spotykam Władzia ociekającego wodą, jak nurek, i przemokniętego gruntownie.

Okazuje się, że rano deszcz podsłuchy mu zepsuł, zdecydował się jednak przyjść, mimo że całą drogę padał ulewny deszcz.

Koń nadszedł z bagażami przytroczonymi na grzbiecie, więc nastąpiło rozpakowywanie i meblowanie sąsiedniego kącika stai, oczekującego od dawna na miłego lokatora. Władek wydobywszy z pakunków, najmniej zmoczone części garderoby, zastąpił niemi doszczętnie zmoczone, które porozwieszał na drągu umieszczonym pod dachem stai obok ognia.

Dziś już nie idziemy nigdzie, z powodu deszczu odkładamy wycieczki do jutra.

Przyrządzamy kolację poważniejszą, z racji przybycia gościa, który właśnie jest mistrzem od przyrządzania wszelkich karpackich potraw.



Na podsłuchach. Fot. Wł. Müller.

Dzięki temu mamy kuchnię urozmaiconą i smaczną.

Szybko zapadła noc, więc gwarząc, układamy się do snu, okrywając się czem można, gdyż wicher, dostający się wszelkiemi szparami do wnętrza stai, chłodzi naszą sypialnię. Nie pomaga duże ognisko, a dym miotany wiatrem, atakuje nas kłębami, gryząc w oczy i utrudniając oddychanie.

Po umiejętnem ulokowaniu się, aby dym nie dokuczał, wkrótce zasypiamy.

Budzi mnie co pewien czas, szalejący wicher. Spać nie mogę, gdyż w dzień spałem na zapas.

(C. d. n.). ST. LESKI.



Z SEZONOWYCH, JESIENNYCH PRZEŻYĆ ŁOWIECKICH.

I.

Zaiste, nieskończonemi są drobrodziejstwa naszego Świętego Patrona! Wiosną roku bieżącego zdawać by się mogło, że wobec znikomej ilości rodu kaczego, który cudem wybawił się jakoś od zabójczych kontaktów z cywilizowaną Europą, masowych tępień w świetle projektorów latarń morskich i innych zabójczych „delicyj" podczas zeszłorocznych jesionno-wiosennych „peregrynacyj", wyglądało na kompletny „vacat" sezonowy miłych krzyżówek, cyranek i „tutti qvanti". Tymczasem dobroczynna ręka świętej matki przyrody zarządziła wręcz inaczej — naprzekór wszelkim pesymistycznym „krakaniom"!.. Dzięki bajecznie pięknej pogodzie w przeciągu maja i czerwca r. b. rozmnożyły się drogie kaczuszki jak piasek w morzu, jak gwiazdy na niebie... Atoli, jak zawsze, moc jaj i piskląt zostało „wydartych" przez zacnych pastuszków polesko-wołyńskich, w czem ich poczciwe pieski-kundelki tak dzielnie sekundowały! Pomimo tych fatalnych „konjunktur"—moc ich jest obecnie! Pisałem już o tem w swych wrażeniach z Polesia—lecz to, co ujrzałem na wielkich wodach Wołynia — przechodzi wszelką imaginację... Na tych ogromnych wodnych zbiorowiskach — na których „koncentrują się" nieprzeliczone zastępy rocznego „urodzaju" — aż roi się od kaczek!... Deo gratias!... W zestawieniu z rokiem ubiegłym, dzisiejszy stan wodnych zwierzostanów nie może być nawet porównywany... Szczególnie krzyżówek jest moc niezwykła!.. Ale i innych też odmian nie brakuje. Zawdzięczając ładnej pogodzie, przeloty i nalot gęsi oraz północnych gatunków opóźnił się bardzo. Gęsi, co prawda, są — (ukazały się pierwsze stada — około 5 — 10 października) — ale stanowią one li tylko „awangardę" — gdyż „gros" ich kohort jeszcze się nie pojawił. Mając nadzieję doczekać się „nalotu" na Wołyń sławetnych zbawczyń Kapitolu — nie omieszkam zdać szczegółową, jak zwykle, relację Czytelnikom Najmilszym!... W dniach 14 — 15 widziałem jednakże stadko (6 sztuk) uhli (Oedemia fusca) — nurów polarnych też (Colymbus arcticus). Stanowi to niezbity dowód, że mili goście nasi ze stref podbiegunowych i „tundr" dalekiej Laplandji „ruszyli się" ze swych letnich rezydencyj. Chociaż jednocześnie nie zaobserwowałem jeszcze ani przelotu łyżkodziobów (Spatula clypeata) — jako też północniejszych, innych odmian. Musi to niebawem nastąpić. Natomiast — co za śliczny widok przedstawia spokojna, jak lustro, tafla Borsukowieckiego i Przedmireckiego stawów — z „ławicami" krzyżówek, spokojnie odbywających dzienną swą „sjestę" — po całonocnych wędrówkach. Jedynie zgromadzenia masowe śledzi przy wybrzeżach New-Fundlandji — na mieliznach „Dogger-banku" — dadzą się z niemi „komparować". Niektóre z tych „tabunów" — liczyć można na 5 — 10 tysięcy osobników!... bagatela!... Wszystka ta brać kacza bezpiecznie używa życia—spokojnie „kołysząc się" na wód błękitach Horynia!... Wiedzą doskonale, przezorne „Anas boschas" —że oko myśliwskie „łakomie" tylko, i z „pożądliwością" wielką na nie spogląda!... I nic ponadto! Co za rozkosz przez lornetkę polową śledzić ich ruch każdy!... „Papranie się"—w swych barwnych piórkach pięknych kaczorów — wzajemne między sobą „rozhowory" w języku „kaczym" — „uganiania się" za samicami lubieżnych samców!... Ciepłe promienie „babiego lata — w ich głowach i sercach mimowoli wspomnienia wiosny czarodziejki tak żywo odradzają!... Gdzież się podziały „erotyki" pełne napięcia „amorów" kwietniowych!?... Ale, nic to!... Wróci, wróci niezawodnie okres przecudny upojeń złotych!... Nie dla wszystkich jednakże! Pomimo rzekomego bezpieczeństwa na falach jezior i stawów -— niejedna kaczuszka złoży swą główkę podczas wieczornych odwiedzin brzegów, rozlewów i stawków małych!... Tak samo z zacisza oczeretów i „koczek", nibyto tak „przytulnych" i ukrytych — z których dosięgnie ich śrut strzelby myśliwskiej... Ale wszystko to jeszcze „dziecinne zabawki" — w porównaniu z oczekującą je grozą „kanardjer, gabionów" i innych „zdradzieckich" okropności tam daleko — w najbliższej przyszłości, gdy szybować poczną stada niezliczone nad ziemią Italską, Galijską, półwyspu Iberyjskiego!... Dopiero „tamtejsi" myśliwi pokażą im, gdzie raki zimują. Aż dusza boli, myśląc o marnych losach biednych kaczek.

Ah! — po co się martwić przedwcześnie! Po co zatruwać myśli i serce ponurymi horoskopami!... Przez tyle już „koszmarów" przeszły nasze „przyjaciółki" — przez piekło całe prześladowań i niszczycielskiego barbarzyństwa — a jednakże tyle ich jeszcze uży-

wa życia i jego czarów na tym to padole płaczu. Nie każdą, dzięki Bogu, podobny koniec oczekuje!

A dzisiaj, śród pajęczyn złotej, polskiej jesieni „delektuje się" słodkimi „wywczasami" bractwo wodne, i słusznie!... Bo natura i serce ludzkie i kacze zawsze pozostaną młodemi! — zawsze nadzieja, gwiazda przewodnia lepszego jutra, kwitnąć w nich będzie!... Dusze myśliwskie, jako dusze wszechstronne — z ideą wiecznej młodości nigdy się nie rozłączą!... Po udrękach wszelkich czarnej przeszłości, nastąpić musi „uleczenie" — jak o tem tak ślicznie mówi francuski poeta Sully Prud'homme: „un matin de soleil, le vitre toute rose et — nous voila gueris des chagrins de la veille!"... (Słoneczny ranek — zaróżowiona szyba naszego okienka i już jesteśmy wyleczeni od smutków wczorajszych). Święte, tak prawdziwe słowa pełnego pogody Mistrza!... Szczęśliw też — winien się czuć każdy, dopóki ów pierwiastek rezygnacji, ukojenia i umiejętność, powiem więcej, talent korzystania z każdego uśmiechu losu, z tych „petits bonheurs de la vie" (małych radości życia) — jako znicz dobroczynny — żyje zawsze w mrokach tajników psychiki jestestwa całego... Atoli my myśliwi posiadamy ową zdolność, prawie zawsze „in summo grado" — no, i poczciwe kaczuszki też widocznie! Więc bądźmy zawsze dobrej myśli, — zawsze „nieodmiennie" pogodni i weseli!...

II.

Nie znam wrażenia więcej uroczego, „mistycyzmem" niemal przepojonego — jak „wyczekiwanie" przelotu lub nadlotu kaczek podczas wieczornych zlotów ich na stawkach, jeziorkach i brzegach zabagnionych — oraz rannych na nie polowań — tu na Wołyniu tak zwanych „doświtkach"... Bądź to w szarugach beznadziejnych nocy jesiennych, pod wycie wiatrów, śnieżyc i „pluchy" monotonnej — bądź w oparach fantastycznych mgieł opalowych — czy też pod „rozgwiażdżonym" welonem niebios bezgranicznych — w ciemni granatowej koloryzacji!... Napięcie nerwów ogromne a jednakże takie słodkie, takie kojące!... Gasną pomału czerwienie, szkarłaty i fjolety dnia zamierającego!... Pierwsza gwiazdka nieśmiało tak „zamigotała!"... Później zapalają się „konstelacje" mnogie! — „stella" polarna ogniście tak zaświeci — droga mleczna dyskretnie „zaprofiluje" swój snop światła, matowo przyćmiony!... Cisza naokół z doskonałych najdoskonalsza!... A ileż to myśli natenczas i bólów i wspomnień o istotach drogich, które nas na zawsze opuściły, ciśnie się do serca i duszy!... Ileż żalów o błędach przeszłości, o „niewykorzystanych" niegdyś radościach życia i „roztrwonionych" skarbach intelektu swego i osób blizkich. Atoli „reminiscencje" te nie rzucają bynajmniej „nalotu" udręki w „podobnem" otoczeniu!... Cichą elegją „pieszczą" spracowanego człowieka i nigdy niezmordowanego myśliwca!... Wtem! — rzekłbyś, rozpędzony szrapnel, „przeciąga" z zawrotną szybkością — kaczka!?... Strzał błyskawiczny, „rzutowym" zwany i... szmatką bez życia wali się z pluskiem w wodę, bystrolotna bohaterka! Inne tymczasem jak z rogu obfitości, jako „mary" snów gorączkowych, nieoczekiwanie literalnie „wykwitają" nad samą głową!... Oczy się rozbiegają, wypatrując coraz to nowe ofiary — uszy bolą od natężonego wsłuchiwania się w najmniejsze szelesty i dreszcze niebieskich, ciemnych otchłani! A strzały padają gęsto jeden za drugim... firmament świeci „jak szabaśnik złoty", nad głową szczęśliwego łowca!... Symfonja dźwiękowa rozcina powietrze — to stado duże przeciąga wysoko — przeraźliwy poświst lotu dalekich, północnych gatunków!... Od czasu do czasu przelatujący bekas—kszyk odzywa się swym tyle charakterystycznym odgłosem! Z poświat wysokości, gdzieś tam, ponad naszą biedną ziemią — płynąć zaczyna, melodją przygaszonej nuty pieśń — kluczów gęsich!... Z początku, jak nieśmiałe, „zatuszowane" odległością — coraz to więcej „tężniejąc" — przepływają w czarnych sklepieniach kosmosu!"... Z hieratycznie wyciągniętemi szyjami dają się „przeczuć" sylwetki trójkątu żórawi — ich „klangor" mimowoli przypomina cały przepych potęgi dni wiośnianych! — surmy „hejnałów" na mszarnikach Polesia starego!... A tymczasem kaczki przeróżne, coraz to nowe i „inne" walą jak z procy—a piękne strzały, nawet dublety następują jeden po drugim! — ku ukontentowaniu wielkiemu duszy myśliwskiej". „Rozpływa się aż z ochoty i szczęścia łowieckiego owa dusza szczęśliwa!..." O ile za pośledniejszy gatunek przeżycia uznać należy wrażenia li tylko „strzałowe" do „żywego celu" pędzonych kur, zajęcy „w kotłach" — rakiet bażancich!? Tu natomiast ma się do czynienia z „podłożem" samem przyrody w całej swej krasie i tajemniczości niezrównanej! z jej „wychowankami" o instynktach pierwotnych!... Cechuje je — atawistyczna ostrożność, dzikość—„pokoleniami" całemi w krew wszczepiona nieufność i strach paniczny przed „człowiekiem złym" — co to tylko ból sprawić umie! Doświadczeniem wielu okazów, zdobytem zostało smutne to przekonanie!... To też, gdy padnie podobne trofeum — glorja tryumfu — myśliwca zalewa!... Taki łup wart jest oka i oblicza Pańskiego, jak zwykli mawiać przodkowie! W zapomnienie idą noce bezsenne, zimna i trudy wszelkie — nim to się „dochrapie" — do radości podobnej!...

III.

Na błogosławionych terenach Borsukowieckich hr. Niny z Rzewuskich Tyszkiewiczowej — niegdyś z takim talentem opisanych też przez ś. p. nieodżałowanego Juljana Ejsmonda — dla którego prawdziwą ucztę stanowił wyjazd każdy do dobrej ziemi wołyńskiej — polowałem dni kilka w towarzystwie najmilszego swego synowca, Feliksa hr. Tyszkiewicza-Łąckiego.

Młody ten myśliwy „de re et nomine" zgotował mi tak miłą niespodziankę!... Wyrosły śród kulturalnych łowisk Wielkopolski, z których wzorowego prowadzenia winniśmy brać przykład wszyscy — „rozpieszczony" jak zwykle poznańczycy, obfitością zwierza i ptactwa „hodowlanego" — nie przypuszczałem nigdy, że najsympatyczniejszy hr. Feliks okaże się na tyle wytrwałym i prawdziwym „ochotnikiem" kresowym. Nawet takiemu wydze, jak sławetny „gondoljer Nykon" — zaimponował. Ja, stary prak-

tyk też niemniej „zdębiałem!“ Po całych nocach „podjeżdżał“ rzadkie jeszcze gęsi (dzięki Bogu, udało mu się zdobyć pięknego gąsiora!) — na kaczki — na przeloty i doświtki i na wszelkie inne radości naszych dzikich pól praojców!... To też dusza i serce rosły, że miałem szczęście zostać chrzestnym ojcem „gęsim“ dzielnego adepta Św. Huberta!... Nie jesteśmy osamotnieni!... jesteśmy „nieśmiertelni“ — bo, aczkolwiek odejdziemy w zaświaty — „ciągłość radości venatorskich“ wieczną pozostanie!...

Mając taką młodzież — umiejmyż ją cenić i pielęgnować i... kochać!... jak tego warta jest. Bo zaiste zasługują na to ci, którzy po nas kiedyś (daj Śt Hubercie jaknajpóźniej) przyjdą — wysoko zielony sztandar w swych krzepkich dłoniach i gorących sercach myśliwskich dzierżąc! Cześć im i chwała i dziękczynienie nasze — jakoteż Śt. Hubertowi, — który im potrzebny „animusz“ staroświecki, trzeźwość i rzeźwość tak szczodrze darowuje.

ADAM RZEWUSKI.

SOKÓŁ DRZEMLIK.

(SZKIC MYŚLIWSKO-PRZYRODNICZY).

Jednym z dość małych drapieżników, ale za to tem ciekawszych, tak z powodu swego życia, jak i z całego zachowania się w naszych warunkach klimatycznych, jest corocznie do nas na zimę przylatujący sokół, zwany drzemlikiem.

Jako zawsze cichy i skromny, nigdy prawie nienarzucający się czujnemu oku myśliwego, jest łowny ten ptak, albo za mało jeszcze znany, albo uchodzi w mniemaniu u wielu najczęściej za krogulca lub za sokoła - kobuza.

Tymczasem jest on w naszej awifaunie zjawiskiem tak interesującem i poniekąd tak typowem, że nasuwa się konieczność, choćby popularnego opisania jego życia i sposobu polowania. Tembardziej, że właśnie we wrześniu przybywa on do Polski z wysokiej północy na długi pobyt zimowy.

Nazwa jego stąd pochodzi, że piękny ten sokolik, gdy się naje do sytości, ma zwyczaj przytulać się do grubszej gałęzi na drzewie i siedzieć na niej godzinami bez ruchu w postawie skulonej i drzemać...

Nic go wtedy nie obchodzi, niczem się nie przejmuje i zapomina, jak się zdaje, nawet o świecie bożym. Mimo to jest czujny...

Gdy zgłodnieje, budzi się prędko, wyprostowuje ciało, lustruje bystrem spojrzeniem całą okolicę i zrywa się do lotu na nowe łowy... Zbudzony podejrzanym szelestem, zaraz z miejsca wzlatuje.

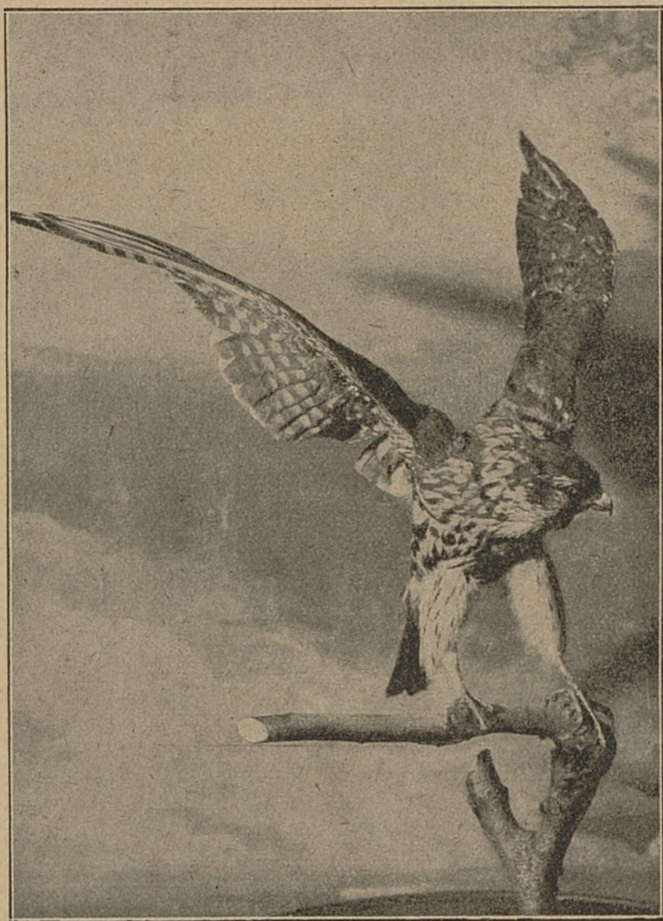
W powietrzu porusza się przedziwnie szybko, szybując szczupakowatym lotem, przypominającym lot puszczyka, i uderza na zdobycz tak gwałtownie i z takim impetem, że ptaszek, który jego uwagę i pożądliwość zwrócił na siebie, nigdy mu prawie nie uchodzi.

Widuje go się często w mieście, jak leci wzdłuż ulicy i chwyta wróble, nawet pod balkonem kamienic schowane.

Drzemlik należy do najściglejszych ptaków na ziemi. Złowiwszy wróbla, skowronka lub szpaka, zanosi go w szponach na najbliższe drzewo, albo na wynioślejsze miejsce, np. na grudę na roli, i wypoczywa przez chwilę, a nabrawszy tchu do nowej pracy, zaczyna ucztę.

Silnem uderzeniem dzioba miażdży czaszkę ofiary jeszcze żyjącej, wydłubuje mózg, później łup dokładnie oskubuje, rwie małe kąski mięsa i chciwie je pożera, wznosząc po każdem przełknięciu głowę do góry, jakby dla wyprostowania przełyku...

Gdy go się wtedy podchodzi ze strzelbą, przytula się zaraz do gałęzi lub ziemi i to tak dokładnie, że go bardzo trudno zobaczyć i jeśli myśliwy nie zapamiętał sobie miejsca jego zapadu, już go z pewnością nie odszuka. Zdradzić go tylko może żółtawy kolor jego piór na podbrzuszu. Gdy się zaś zbyt długo go szuka i za blisko do niego przychodzi, zrywa się



Sokół drzemlik (Falco aesalon), młoda samica.

nagle i ulatuje tak szybko, że strzelić go nie można. Strzelony, w lot wypuszcza zwykle zdobycz ze szponów.

Zeszłej zimy podchodziłem raz drzemlika, gdy ten, schwytawszy jakiegoś ptaszka, zapadł z nim w kępie

olszyny, i doszedłem dość blisko do niego. Po dłuższem szukaniu wzrokiem, dostrzegłem go przywartego do gałęzi. Leżał na niej, jak przyklejony. W chwili jednak, gdy podniosłem strzelbę do oka, już się zerwał. Strzeliłem za nim z przyrzutu między gałęzie i chybiłem, ale zmusiłem go do opuszczenia łupu.

Był nim wróbel - samczyk. Spadł w śnieg i zapadł się w nim tak głęboko, że tylko koniec jego ogona na kształt suchego listka ponad śnieg wysterczał. Podniosłem biedaka i oglądnąłem. Żył jeszcze i ciężko oddychał. Oczy miał zamknięte, ale je wnet otworzył. Po za kropelką rubinowej krwi koło dzióbka, nie miał na ciele żadnych innych obrażeń. Potrzymałem go przez kilka minut w dłoni, aby się ogrzał, a gdy się ożywił, puściłem wolno...

Poleciał niepewnym lotem i zasiadł w krzaku tarniny. Po chwili strzepał się i podążył dalej. W dziwnych, bądź co bądź, okolicznościach ocaliłem mu życie. Jego przeznaczenie snać inną mu śmierć gotowało...

Innego znowu drzemlika strzeliłem w czystem polu, gdy ten, upolowawszy w moich oczach skowronka, usiadł z nim za niedaleką na ziemi wyniosłością i zaraz skubać począł. Po strzale zwalił się z rozpostartemi skrzydłami, jakby do lotu, nieżywy... Skowronek był już bez głowy...

Jeszcze innego, tego właśnie na fotografji, ubiłem wtedy, gdy przytulony wysoko do gałęzi, urządził sobie po dobrem śniadaniu siestę i drzemał. Miał wole wypełnione w całości zjedzonym przed chwilą drozdem. Było duże, wydęte i jakby spuchnięte.

Wspaniały wprost widok przedstawia stado szpaków, gonionych przez drzemlika. Wzbijają się wtedy bardzo wysoko i wyglądają na tle wrześniowego nieba, jak ciemna, ruchliwa chmura...

Za nimi podąża wciąż ich prześladowca, co chwilę je dopędza i w sam środek stada wpada, aby któregoś pochwycić. Ale trafia zwykle w próżnię... Szpaki rozdzielają się momentalnie na grupy i, gdy ogłupiały chybionym chwytem szponów i oszołomiony szumem setek skrzydeł drapieżnik, sam na sekundę w przestworzu zawisa, skupiają zaraz na nowo i uciekają, ile im sił starczy w krzepkich skrzydłach, naprzód, dalej i jak najdalej od śmiertelnego wroga...

Drzemlik stara się odbić od stada choćby jednego tylko ptaszka. Gdy mu się to uda, jest pewny zdobyczy. Zanim szpaczek kilka metrów uleci, już broczy krwią serdeczną w szponach krwawego demona. Ten opuszcza się zaraz błyskawicznie na ziemię i tłusty kąsek spożywa.

Gdy jednak szpaki rozbić się nie dadzą i drzemlikowi sztuczka się nie uda, wtedy zniechęcony i zły i jakby zawstydzony, leci w przeciwną stronę, albo zoczywszy inną zdobycz gdzieś na dole, przy ziemi, spada na nią piorunem i uśmierca.

Wszystkie czajki, jakie bytują w danej okolicy, także wtedy uciekają w panicznym strachu bezładnie przed małym rabusiem. Ucieczka ich nie ma jednak racji, bo sokolik ten na nie, zdaje się, nigdy nie uderza.

Drzemlik przepędza u nas miesiące: wrzesień, październik i listopad na polach i łąkach, znajdując tam żer obfity wśród skowronków, przepiórek, szpaków i bekasów.

Dopiero z końcem listopada albo i prędzej, gdy ptaki te, przepłoszone śniegiem i mrozem, powędrują na południe, do ciepłych krajów, podąża albo za nimi, albo zalatuje do naszych wiosek i miast i w nich już pozostaje do wiosny, polując przeważnie na wróble, trznadle i inne małe ptaszki.

Sokół drzemlik, sokół królik, sokolik drzemlik (Falco aesalon, Falco regulus, Falco smirillus, Aesalon lithofalco) należy do sokołów szlachetnych. Jest małym, ale silnym i odważnym drapieżnikiem.



Sokół drzemlik (Falco aesalon), młoda samica, widziana od strony grzbietu.

Długość jego ciała wraz z ogonem dochodzi od 28 — 32 cm., szerokość w rozskrzydlu do 76 cm., rozpiętość piersi między skrzydłami do 14 cm,. długość skrzydła od 29 — 30 cm., a długość ogona do 13 cm.

Samica bywa o kilka cm. dłuższa, co jest zresztą zwykłem zjawiskiem u wszystkich ptaków drapieżnych.

Skrzydła drzemlika są mocne, ale krótkie, bo zakrywają w stanie spoczynku ledwie dwie trzecie ogona, podczas gdy u innych sokołów wystają po za ogon. U obu płci występują na policzkach niewyraźne wąsy, które jednak z wiekiem coraz bardziej ciemnieją.

U starszej samicy są skronie i czoło rdzawo-popielate z jaśniejszą pręgą nad oczami. U samca całkiem ciemne. Podgardle i gardło żółtawe lub białe, prawie bez plam. Pierś, brzuch i nogawice żółte lub rudawobiałe z podłużnemi strychami, drobniejszemi u samca. Każde ciemne piórko obramowane białą obwódką. Podbicie ogona szaro-popielate.

Skrzydła i cały płaszcz, z wyjątkiem jaśniejszej smugi na karku, są brunatne z popielatym lub łupkowym nalotem, przechodzącym niekiedy w lekki błękit. Nadto wszystkie pióra na płaszczu mają wzdłuż stosin ciemne, wąziutkie paski. Wogóle koloryt płaszcza zawsze misternie znaczony, bywa u osobników w różnym wieku dość urozmaicony.

Lotki na chorągiewkach od spodu gęsto poprzecznie kreskowane. Ogon dość długi, z wierzchu koloru płaszcza, od spodu jaśniejszy, jest równo ścięty. Wszystkie sterówki, a jest ich 12, sześciokrotnie poprzecznie z obu stron pręgowane. Ostatnia pręga najszersza, prawie biała, zaokrąglona.

Samica ma pod brzuchem i na nogawicach liczne piórka koloru żółtego, a na nich ciemno - bronzowe centki kształtu podłużnego, samiec zaś tylko cienkie strychy na żeberkach niektórych piór.

Oko drzemlika jest duże i żywe, o ciemno-brunatnej, prawie szarej, tęczówce, opatrzone podwójną powieką i mięsistą, za życia czerwoną obwódką, tudzież ochronione długiemi szczecinkami. Dziób koloru czarnego jest już od nasady hakowato zgięty. Widać w nim okrągłe otwory nosowe, umieszczone w żółtej woskówce. W górnej szczęce widoczny ząb, wchodzący w odpowiednie nacięcie w żuchwie. Paszcza szeroko rozcięta z krótkim, mięsistym językiem, Nogi wysokie na 10 cm, są upierzone po piętę i od niej po palce okryte żółtemi tarczkami. Kończą się czterema trzyczłonowymi palcami, których trzy zwrócone naprzód, a jeden, zwany kciukiem, w tył. Palce uzbrojone w silne, ostre, łukowato zakrzywione szpony, koloru czarnego.

Młody ptak jest całkiem podobny do samicy, tylko ma więcej bronzowych piórek pod skrzydłami, jest gęściej upstrzony i, rzecz oczywista, mniejszy.

— — — — — — — — — — — — — — —

Drzemlik gnieździ się z reguły na półwyspie Skandynawskim, ale także na wyspach Tar-Or, Islandji, na półwyspach Kanin i Kola i na wielkiej tundrze północnej.

Nie jest wykluczone, że i u nas w Karpatach buduje sobie niekiedy gniazdo... W północnej Syberji bywa bardzo pospolity, jak również na Sachalinie, w Japonji i Mandżurji.

W swojej ojczyźnie gnieździ się chętniej na skałach, wśród gór, niż na drzewach, lub na ziemi. W tundrze ściele z konieczności gniazdo w gęstych mchach na suchszych ostrowach.

Na wyspach wybiera niedostępne zagłębienia skalne pod występami kamiennymi i tam buduje gniazdo, wyściełając je mchem i pierzem.

W połowie maja znosi samica 4 — 6 jaj ciemnożółtych, bronzowo nakrapianych, podobnych do jaj pustułki, i siedzi na nich 21 dni.

Skoro się młode wyklują, nastaje dla rodziców krytyczny czas ciężkich wysiłków i pilnych zabiegów około zdobycia dla żarłocznych piskląt, dostatecznego pożywienia. A bardzo o to trudno w tamtych stronach, do których mało drobnego ptactwa zalatuje i to tylko na krótko dla odbycia lęgu.

W każdym razie nie braknie tam naszym sokolikom pewnego gatunku zięb i małych gryzoniów. Mogą ostatecznie wyżywić tym pokarmem swoje potomstwo i wodzić je za sobą już z końcem lipca najpierw po terenie w pobliżu gniazda, a później wyruszać gromadnie na daleką, tułaczą wędrówkę na południe.

Z początkiem września są już u nas...

W bieżącym roku, np. widziałem w Rzeszowskiem całą rodzinę drzemlików, złożoną z dwojga starych i czworga młodych, w dniu 4 września. Szybowały wesoło dokoła zalesionego wzgórza nad Wisłokiem niedaleko miasta i polowały na jaskółki, trznadle i szpaki. Zauważyłem nawet, jak większy drzemlik, zapewne ojciec, schwytał w pewnym momencie jaskółkę i podał ją w powietrzu nadlatującemu, piszczącemu dziecku...

Czy się tutaj zatrzymają na dłużej, lub czy polecą niebawem dalej, tego nie wiem.

Jak inne sokoły, tak i drzemlik, opuszcza z końcem sierpnia swoje rodzinne strony i podąża za wędrującem ptactwem przelotnem, którem się żywi, na południe Europy, docierając do morza Śródziemnego, a nawet dalej, bo do Egiptu i granic Sahary, a w Azji do Persji, Indyj i Chin.

Jeśli jednak gdzie po drodze znajdzie obfitsze pożywienie, jak np. w Polsce, zatrzymuje się tam do wiosny i osiada w pobliżu gumien i stert ze zbożem, lub nawet przy uczęszczanych traktach i poluje na szukające ziarna trznadle. Rzecz oczywista, że znaleźć go można w tych miejscach tylko wśród głębokiej zimy, śnieżnej i mroźnej.

Po szybkim, posuwistym locie, po ciemnym płaszczu i żółtym spodzie poznać go można nawet zdaleka i odróżnić od krogulca lub pustułki.

Jeśli chodzi o odwagę i zdolności łowieckie, nie ustępuje drzemlik w niczem, aczkolwiek jest mały, innym, wielkim sokołom. Chwyta zdobycz, jak i tamte, przeważnie w locie, w pełnym rozpędzie i atakuje od góry, wyciągając w odpowiednim momencie ostre szpony do chwytu i równocześnie uderzając swą piersią o ciało ofiary...

Chybia rzadko kiedy...

A jeśli mu się zdobycz wywinie, pomimo ciosu, po mistrzowsku wymierzonego, już jej więcej nie prześladuje i porzuca, szybując dalej w poszukiwaniu za innym ptaszkiem, w czem mu ogromne oddaje usługi niezwykle bystry wzrok.

Całkiem inaczej postępuje krogulec. Ten goni ptaszka aż do zupełnego jego wyczerpania i ujmuje go w końcu w szpony.

Drzemlik żywi się, jak się wyżej rzekło, przeważnie mniejszymi ptaszkami, a więc wróblami, pliszkami, skowronkami i t. d., ale nie pogardza także przy nadarzającej się sposobności, i szpakami, drozdami, jemiołuszkami, przepiórkami, kszykami, a nawet młodemi kuropatwami. Nie daruje również myszom i większym owadom, gdy bardzo głodny.

— — — — — — — — — — — — — — —

Oswaja się łatwo i to tak dobrze, że bierze z rąk, podawanego sobie wróbla. W niewoli żyje długo i znosi ją zawsze z godnością.

W klatce lubi czystość i sam jest bardzo czysty...

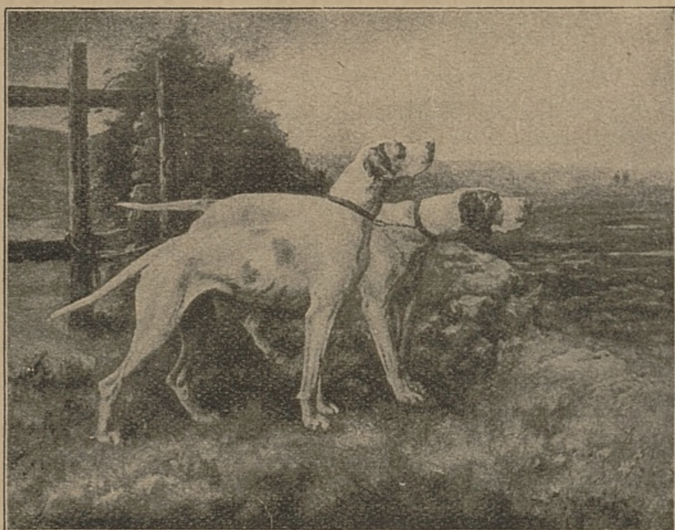
Z powodu wybitnej odwagi i nadzwyczajnej lotności używano go dawniej do polowania na przepiórki i kuropatwy, wystawiane przez psy myśliwskie. Tych ptaków nie mógł wprawdzie udźwignąć, ani odrazu zabić, ale je osadzał na miejscu i tak długo przytrzymywał, dopóki któryś z myśliwych nie nadbiegł i zwierzyny od niego nie odebrał.

Chociaż jest szkodliwy przez tępienie ptaków śpiewających, owadożernych i łownych, zasługuje jednak na pewną ochronę, zwłaszcza w tych miejscowościach, w których mniej licznie występuje.

W połowie marca łączą się drzemliki w większe partje i odlatują razem do swojej, dalekiej ojczyzny.

Rzeszów.

WŁADYSŁAW GUERTLER.



O PSICH SPRAWACH.

(Interwiew z Rapem).

— Jak się pan ma, panie Rap, dawno nie widziałem się z panem, co nowego? Jak tam próby polowe?

— Hm... próby... z różnych punktów widzenia możnaby o tem mówić. Udały nam się, jak nigdy. Stanęło 22 psów do zawodów, które trwały przez całe dwa dni. Jeszcze nigdy w Polsce na taką skalę zakrojonych prób nie było. Mamy też do zanotowania kilka radosnych faktów.

Po raz pierwszy ujrzeliśmy na próbach psy niemieckiej rasy, które były bardzo dobre, jak również angielskie settery, które nietylko exterierem, ale i zaletami polowemi się wyróżniły. Wprawdzie było tego tylko po dwie sztuki, ale było. Ci, którzy nam pointerom coś mają do zarzucenia, niechże się cieszą, że i inne rasy wyżłów u nas coś potrafią. Niech tylko pamiętają, że dwa psy na próbach, to jeszcze nie hodowla.

— A jak tam panowie?

— Z nami, pointerami, było w tym roku gorzej. Nikt z naszej rasy w tym roku dyplomu I stopnia nie otrzymał, co uważam za skandal. Klasa młodzieży też była mniej liczna i nikt się z pośród niej specjalnie nie wyróżnił.

— No, a stara gwardja? Jak tam z czempionatem?

— Proszę pana... Pan wie, że w domu powieszonego... Ale co tam... Stanęło nas pięciu, krótko mówiąc, nikt z nas tytułu championa nie otrzymał. Nawet ten hycel Rek puhar mi zabrał. Ja chciałem pokazać sztukę i zajść wystawionym kurom z przeciwnej strony, zatoczyłem koło, ale wpadłem na kury z wiatrem i... wsypałem się... Co tam... Nim zostanę championem, jestem Rapem. Caesar też najprzód był tylko Caesarem, a potem z niego „cesarza" zrobili.

— A jak tam pensjonarze Żółtej Karczmy sprawiali się na próbach?

— Jak na pierwszy raz — znakomicie. We wszystkich klasach pobraliśmy pierwsze nagrody. W klasie młodzieży dwa pierwsze miejsca zdobyli Drop i Lor. W klasie otwartej pierwsze miejsce zdobył Drop, a dwa dyplomy III stopnia Extra i Jaskier, w klasie zwycięzców puhar zdobył Rek, a następne miejsce zaraz po nim zająłem ja. Słowem, Żółta Karczma górą! Były wprawdzie niedociągnięcia, ale to był los nietylko Żółtej Karczmy. Wogóle sędziowie o ułożeniu psów wyrażali sę niezbyt pochlebnie. To jest sprawa, którą Towarzystwo Hodowli Psów Myślwskich musi się zająć.

— Co, pańskiem zdaniem, należałoby w tym kierunku zrobić?

— Proszę pana... Ludzie są zarozumiali. Myślą, że tylko nas trzeba tresować. A tymczasem trzeba tresować samych myśliwych i uczyć, jak mają nas prowadzić. Panowie myśliwi uważają nas za jakieś zegarki. Myślą, że dość zapłacić paręset złotych za tresurę i pies będzie chodził, jak zegarek. A tymczasem każdego wyżła w polu należy umieć prowadzić. Inaczej, w bardzo prędkim czasie się zepsuje, nie wiedząc, w jaki sposób ma współdziałać ze swym panem. A zresztą, proszę zegarek pokręcić w przeciwną stronę, a zobaczy pan, co się z nim stanie. To samo z nami. To też zwróciłem się do zarządu Towarzystwa Hodowli Psów Myśliwskich, żeby rozpoczął w Żółtej Karczmie wykłady i pokazy tresury dla myśliwych. Ma to nastąpić w najbliższym czasie.

— A propos Żółtej Karczmy, co tam w niej słychać?

— Zarząd naszego Towarzystwa krząta się koło Żółtej Karczmy gorliwie. Ugodzono specjalnego kierownika, który nad wszystkiem musi mieć dozór, no i odnowiono Karczmę w taki sposób, żem się sam tego nie spodziewał. Dano dach nad tresernią, nowe sufity, podłogi, piece, słowem Żółta Karczma jest nie do poznania. Wszystko to zasługa członka naszego Towarzystwa, p. Józefa Skrzypka, prezesa Koła Miłośników Łowiectwa, bo bez niego zarząd naszego Towarzystwa, który się na tych sprawach nie zna, nie dałby sobie rady. Wydaliby pieniądze i nie byłoby nic. To jest wzór, w jaki sposób myśliwi winni ze sobą współdziałać, aby wspólnych celów dopiąć. To też nasze Towarzystwo żywi dla p. Skrzypka najwyższą wdzięczność i uznanie. Zresztą na takiem współ-

działaniu całe nasze Towarzystwo i Żółta Karczma stoją. Trudno mi nawet wyliczyć w tej chwili tych, co się do rozwoju naszego Towarzystwa i Żółtej Karczmy przyczynili. Nie chodzi tu nawet o poparcie pieniężne, choć i to często jest nie do pogardzenia, gdyż nasze Towarzystwo dziś już mocno stoi, najważniejszy jest współudział osobisty naszych członków. Mówiłem już o p. Skrzypku: nie chcąc się specjalnie rozwodzić na ten temat, muszę jednak wspomnieć o doktorze M. Łabędziu i doktorze Bielawskim. Pierwszy w znakomity sposób zorganizował opiekę sanitarną i leczenie różnych naszych dolegliwości, drugi znów masę pracy poświęca sprawom tresury. Bo trzeba panu wiedzieć, że choć nibyto Żółta Karczma leczeniem nas się nie zajmuje, to jednak mamy lekarską pomoc w różnych pomniejszych dolegliwościach, które nas trapią i nieraz miałyby poważne znaczenie, gdyby ich skutkom w porę nie zapobiec. Właściwie to tylko cięższe wypadki, w szczególności chorób infekcyjnych, są leczone po za Karczmą, zresztą leczenie odbywa się na miejscu, mamy nawet własną infirmierję, t. j. specjalny pokój, w którym odbywają się potrzebne zabiegi lecznicze. Za to wszystko osobnych dopłat się nie pobiera To też wszyscy jesteśmy zdrowi i w dobrych humorach. Bez doktora Bielawskiego znów nie byłoby tresury, Zadziwiające, ile ten człowiek czasu nam poświęca i jak znakomicie zna naszą naturę. Przytem osiąga swe cele bez bicia i jakichkolwiek ostrych środków, zaś złego traktowania nas przez treserów nie toleruje. Treser, któryby się źle z nami obchodził, natychmiast zostałby usunięty. Przytem dr. Bielawski nie potrzebuje wcale się pytać; jak się z nami obchodzą. On wszystko wie. On po nas natychmiast poznaje wszelkie uchybienia we właściwem nas traktowaniu. To też, dzięki znakomitemu rozumieniu naszej psiej duszy, tresura w Żółtej Karczmie idzie szybko i sprawnie i wszyscy d-ra Bielawskiego kochamy i cenimy. W naszem rozumieniu jest to człowiek niezastąpiony.

— A dużo też panów jest teraz w Żółtej Karczmie?

— Obecnie liczba nasza się zmniejszyła, gdyż większość moich kolegów i ja sam musieliśmy opuścić Żółtą Karczmę, wobec sezonu myśliwskiego i czekającej nas pracy. Ale teraz sezon się kończy i zaczynamy powracać do naszego pensjonatu. Możemy też przyjąć jeszcze kilku kandydatów do tresury. Wogóle życie w Żółtej Karczmie powinno się znacznie ożywić w najbliższym czasie, tembardziej, że rozpoczyna się u nas nowy okres tresury. Wbrew powszechnemu mniemaniu, cały sezon zimowy, szczególniej gdy niema wielkich śniegów, późna jesień i wiosna doskonale się nadają do układania nas. Myśliwy powinien o tem wiedzieć i z tego korzystać, aby sobie zawczasu dzielnego pomocnika przygotować. Jak sobie kto pościele, tak się wyśpi.

— A propos przygotowania pomocników, jak, zdaniem pańskiem, stoją sprawy hodowlane w Polsce?

— Proszę pana, jest to wyrażenie zupełnie niewłaściwie używane, ale powiem, że pod psem. Nasi myśliwi sprawami hodowlanemi za mało się zajmują i wciąż nawracają do uświęconego systemu hoodwania wyżłów w Polsce, polegającego na mieszaniu bezplanowem wszystkich możliwych ras pomiędzy sobą. W ten sposób ma się podobno wychować pies wszechstronny. Jak się wychowa z tego pies bronzowy lub dropiaty, to uchodzi za psa niemieckiej rasy, jeśli ma dużo białej maści i trochę cieńszy ogon — występuje jako pointer, przy nieco dłuższej sierści, stosownie do okoliczności, jako setter lub „szorstkowłosisty". Czy to nie skandal, że ani ja, ani Rek, choć ogłaszaliśmy się w „Łowcu P.", nie otrzymaliśmy żadnej propozycji przyczynienia się do powiększenia liczby rasowych wyżłów w Polsce? Czy już doprawdy jest dość dobrych wyżłów, abyśmy nie mieli w tym kierunku nic do roboty? Potem, jak przyjdzie sezon, to wszyscy będą szukali „rasowych wyżłów", ale o ich wyprodukowaniu nikt nie pomyśli. Na kundlach i mieszańcach daleko nie zajedziemy. I to się dzieje u nas, pointerów, a cóż dopiero mówić o innych rasach wyżłów? Zespolenie właścicieli rasowych psów winno być daleko większe, powinni wiedzieć o sobie i wspólnie troszczyć się, jak kojarzyć pary. Inaczej dzieją się wprost skandale i wszelkie wysiłki idą na marne. Czy pan da wiary, że moja rodzona siostra, córka Ganki i Pampasa miała niedawno szczenięta z wilkiem (owczarkiem)? Rumienię się na pysku, gdy sobie o tem pomyślę.

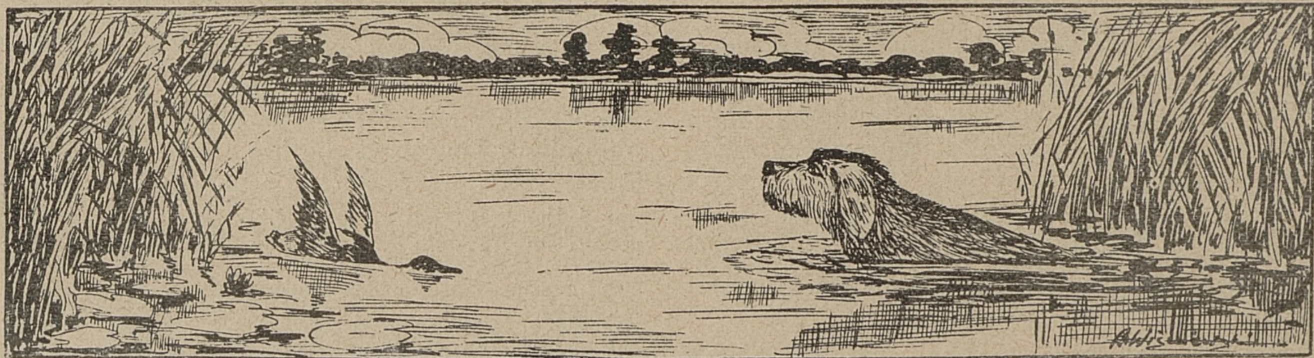
Sprawy te przedstawiłem zarządowi naszego Towarzystwa, który na skutek tego uchwalił podjęcie w najbliższym czasie prowadzenia ksiąg rodowych i sporządzenie spisu hodowców.

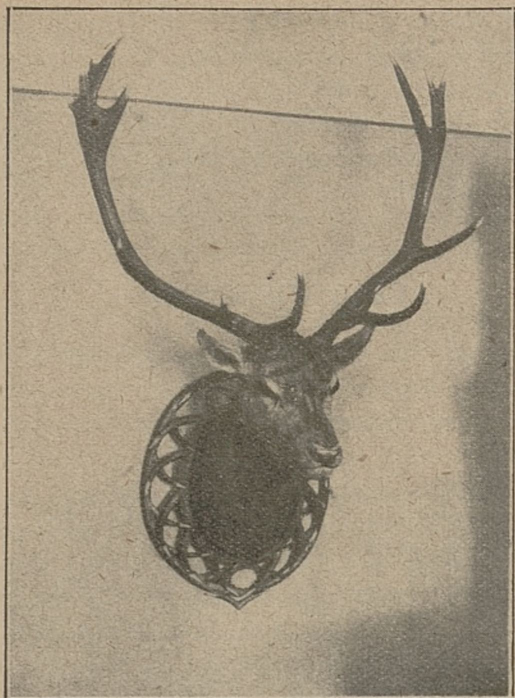
— Jeszcze słówko, panie Rap, podobno zmienili teraz numer telefonu Żółtej Karczmy?

— A tak, mamy teraz numer 8-55.84.

Podziękowałem za tak różnorodne informacje, z których wypływa, że w Towarzystwie Hodowli Psów Myśliwskich mało się mówi, ale dużo się robi, i uścisnąłem Rapowi zacną łapę na pożegnanie.

Obiecałem sobie w najbliższym czasie odwiedzić Żółtą Karczmę.





JUGOSŁOWIAŃSKA WYSTAWA ŁOWIECKA.

We wrześniu r. b. w Lublanie urządzona była jugosłowiańska wystawa łowiecka, połączona z wystawą leśną. Obrazowo przedstawione były fragmenty Alp pokrytych śniegiem, z ich kozicami, głuszcami i cietrzewiami; gęste lasy dębowe z jeleniami, dzikami, sarnami i zającami. Najbardziej zwracał uwagę fragment słynnej Odelskiej Bary z rozległemi bagniskami nad rzeką Sawą, gdzie przebywają liczne gatunki czapli oraz wiele ptaków wodnych i błotnych. Odelska Bara jest obecnie rezerwatem.

Na wystawie były specjalne kolekcje rogów, pouczające o wieku i ukształtowaniu się wieńców jelenich i parostków sarnich, oraz rogów kozic. Dalej były naukowe wskazówki o wpływie różnej karmy na rozrost poroża. W zbiorze myłkusów podano przyczyny tych anomalij. Następnie wskazano wpływ gatunków drzewostanu na ubarwienie rogów.

0sobny był dział rozwoju broni, począwszy od łuku i strzały, oraz wszelakich sposobów łapania zwierzyny.

Pośród trofeów przeważały parostki sarn i różki kozic, natomiast wieńce jelenie nie dopisały.

Dyrekcja lasów państwowych w Belje wystawiła oryginalną kolekcję wieńców jeleni, które masowo padły z powodu wielkiej powodzi w roku 1926.

Z tejże okolicy wystawiono niezwykłe wieńce, bo wagi przeszło 5½ kilo.

Pierwszą nagrodę otrzymały dwa jelenie, zabite przez króla w r. 1929 w Belje (14-tak i 18-tak) oraz 14-tak d-ra Stojica z Beogradu pod Morowicem w Slawonji.

Dwa wieńce nosiły ślady krzyżowania z „wapiti".

Nie nagrodzono olbrzymiego 14-taka z pod Lublany, którego wieńce ważą jeszcze obecnie 11 kilo, mimo że zabity został w r. 1920; przyczyną nienagrodzenia jest to, że tego właśnie najtęższego jelenia ubił — kłusownik.

Prasę łowiecką reprezentowały numery 5 (!) jugosłowiańskich czasopism myśliwskich, oraz różne książki myśliwskie, śród których wyróżniło się świeżo wydane dzieło profesora uniwersytetu, d-ra Marinovica o państwowo-gospodarczem znaczeniu łowiectwa w Jugosławji. Na ścianach i w stoiskach widniały różne sentencje i przysłowia myśliwskie.

Jednocześnie odbywała się wystawa psów myśliwskich.

Następna wystawa odbędzie się w roku 1932 w Zagrzebiu.

ŁOWIECTWO W LASACH CIESZYŃSKICH.

„Echa leśne" wydały październikowy numer ozdobny, poświęcony w całości lasom cieszyńskim. Szereg artykułów przedstawia szczegółowo stan gospodarki w cieszyńskich lasach państwowych od czasów dawnych do obecnych. Piękny ten numer posiada okazałą szatę zewnętrzną i zawiera około 100 zdjęć, w czem 8 stron ilustracyj rotograwiurowych.

W numerze tym poświęcono też kilka słów łowiectwu cieszyńskiemu, które przytaczamy poniżej:

Jednym z najbardziej obfitujących w zwierzynę terenów w lasach Cieszyńskich przed wojną światową było nadleśnictwo Haźlach i leśnictwo Dzięgielów nadleśnictwa Ustroń, gdzie cała gospodarka szła głównie w kierunku hodowli zwierzyny.

W okresie upadku monarchji Austro - Węgierskiej (rok 1918) cały zwierzostan prawie zupełnie wytępili kłusujący żołnierze czescy oraz ludność miejscowa.

Z chwilą objęcia lasów Cieszyńskich przez władze polskie, stan zwierzyny zaczyna się poprawiać z roku na rok, a od roku 1925, dzięki szczególnej opiece roztaczanej nad zwierzyną, zwiększa się do tego stopnia, że już w r. 1927 zarząd lasów państwowych w Cieszynie przeznaczył kilka najlepszych objektów na polowania reprezentacyjne. W roku 1928 ilość zwierzyny dochodzi już do stanu przedwojennego.

W celu podtrzymania zdrowotności zwierzyny i odświeżenia krwi, od r. 1926 sprowadzano pewne ilości sarn, zajęcy, bażantów. W roku 1928 założono w nadleśnictwie Haźlach bażantarnię, nietylko zasilającą własne tereny łowieckie, lecz i zbywającą nadwyżkę produkcji.

W nadleśnictwach górskich szczególny nacisk położono na ochronę głuszców, które w latach 1918 — 1920 niemal zupełnie wytępiono

Koresp. Łowca Polskiego.

OCHRONA ZWIERZYNY.

Pragnąc w czemkolwiek przyczynić się do ochrony naszego biednego zwierzostanu, chciałbym zwrócić uwagę pp. właścicieli terenów i myśliwych-hodowców na szczegół drobny, który może dlatego, że drobny, nie był należycie doceniany, pomimo że ani rozchodów pieniężnych, ani zbytniej pracy przy stosowaniu go nie wymaga.

Szczegół ten możnaby nazwać: Łęty ziemniaczane jako ochrona i miejsce wykotu dla zajęcy.

Jesienią po sprzęcie ziemniaków zazwyczaj wynosi się z pola łęty ziemniaczane. Czynność ta jest potrzebna, aby oczyścić pole przed orką zimową. Kilka lat temu spóźniłem się ze sprzętem i łęty zgrabione na

kupki i przekładane przy orce, pozostały na zoranem polu przez całą zimę. Już pod wiosnę w końcu lutego, na początku marca, kiedy ziemia z wierzchu cokolwiek rozmarzła, zacząłem dopędzać zaległą robotę.

W zmarzniętych jeszcze łętach znalazłem na 35-morgowem polu osiem młodych zajęcy, z których parka może przed godziną dopiero ujrzała światło dzienne. Wszystkie ukryte były w łętach i siedziały w gniazdach, tak, że z wierzchu widać ich wcale nie było. Od tego czasu zawsze zostawiam w środku pola pewną ilość kupek łętów przez całą zimę, są one czy to na gołem polu, czy też na pokrytem śniegiem doskonałą ochroną, tak dla starych, jak i dla młodych, a zające tak się w nich trzymają, że w tym roku od 3 lutego obserwowałem młodego zająca, który w łętach przyszedł na świat i stale przebywał w tej samej kupce aż do robót wiosennych w polu. Uważam, że na terenach, gdzie niema sztucznych ani naturalnych remiz, pozostawianie na zimę pewnej ilości łętów w kupkach uchroni niejedną sztukę przed ostrem okiem drapieżcy, a samicom da miejsce do wykotu.

TADEUSZ GOĆKOWSKI
delegat Pol. Zw. Stow. Łow. na p. Płocki

UROCZYSTOŚĆ 10-CIOLECIA RADOMSKIEGO TOW. PRAWIDŁOWEGO MYŚLISTWA.

Radomskie Tow. Prawidł. Myślistwa w dniu 9 b. m. obchodziło uroczystość 10-ciolecia swego istnienia.

Obchód rozpoczęto nabożeństwem w kościele garnizonowym, następnie w południe odbyło się dyskusyjne zebranie na temat całokształtu spraw łowieckich w kraju. Referentami byli delegaci Polsk. Zw. Stow. Łow., pp. H. Knothe i B. Gędziorowski. W ożywionych debatach przedyskutowano szereg najbardziej aktualnych spraw z zakresu ochrony i hodowli zwierzyny. W przemówieniach i polemice można było stwierdzić, że członkowie Radomskiego Tow. Prawidł. Myślistwa interesują się stanem zwierzyny w powiecie oraz gotowi są współdziałać czynnie w racjonalnym rozwoju łowiectwa w kraju. Stanowiskiem swem Radomskie Tow. wysuwa się na czołowe miejsce wśród niewielu Towarzystw myśliwskich, którym powierzona będzie przez P. Z. S. Ł. samodzielna, autonomiczna praca gospodarstwa łowieckiego w powiecie.

Tradycyjnym zwyczajem wieczorem tegoż dnia w miłej sali hotelu Rzymskiego odbył się bankiet przy współudziale zgórą 40 uczestników. Szereg toastów rozpoczął swem przemówieniem v.-prezes Towarzystwa, p. mec. Przyłęcki, streszczając historję Towarzystwa w ubiegłem 10-cioleciu. Przemawiali delegaci Pol. Zw. St. Łow., przedstawiciel Tow. Knieja w Radomiu i inni. Na podkreślenie zasługuje fakt, że niemal wszyscy mówcy nie mogli pominąć dużych zasług, jakie położył tak dla Radomskiego Tow., jak i dla łowiectwa wogóle, energiczny, pełen inicjatywy, zapału i prawdziwego zamiłowania członek Tow., p. Włodzimierz Żarnowski — delegat powiatowy Pol. Zw. St. Łow. Dzielny ten organizator i gorliwy wyznawca Ś-go Huberta, w zupełności zasłużył sobie na szczere słowa podzięki i uznania, a tymbardziej na cenny upominek w postaci doskonałej broni myśliwskiej z odpowiednią dedykacją, jaki mu ofiarowali koledzy. Radomskiemu Towarzystwu złożonemu niewątpliwie z dobrych myśliwych z nieocenionym p. Włodzimierzem Żarnowskim na czele, życzymy dalszej, owocnej działalności na umiłowanej niwie łowieckiej.

DAN.

CZASY OCHRONNE.

Rozporządzenie wojewody krakowskiego z dnia 30 października 1930 r. w sprawie przywrócenia normalnego czasu ochronnego na kuropatwy w powiecie bialskim.

,,W uwzględnieniu wniosku Pana Starosty w Białej z dnia 25 października 1930 r. L. XXXII/40/30 wprowadzam na obszarze powiatu bialskiego w miejsce rozszerzonego rozporządzeniem z dnia 11 grudnia 1929 r. L. AD. 244229 (Dziennik Wojewódzki Nr. 28 z dnia 15 grudnia 1929 r.) na rok 1930 czasu ochronnego na kuropatwy, normalny czas ochronny od 1 grudnia.

Kronika myśliwska.

Czy złożyłeś już opłatę na budowę Domu Łowieckiego od zabitej zwierzyny?

—J. S.— Na polowaniu u pp. Jana i Izabelli Sobańskich w Kobielach-Wielkich, w dniach 20 i 21 października r. b., zabito w pędzeniach polnych i w kulturach: kuropatw 601, królików 386, bażantów 17, słonek 2, ogółem 1006 sztuk.

Stan kuropatw znacznie w tym roku powiększył się, o czem można było się przekonać, gdyż w każdem pędzeniu napotykano liczne stadka. Bażanty niedawno sprowadzone, również normalnie się rozmnażają. Co do królików, których jest dużo, a których względnie padło niezbyt wiele, tłumaczy się to tem, że na nie specjalnie nie robiono zakładów.

Interesujące jest także zestawienie zabitych szkodników na terenie myśliwskim Kobiel- Wielkich w czasie od 1 stycznia 1930 roku do 1 listopada tegoż roku, a mianowicie: lisów 2, tchórzy 8, łasic 188, kotów 81, psów 50, jastrzębi 214, sów 28, srok 75, wron 221.

—L.— Dnia 17 i 18 października r. b. odbyło się polowanie Myśliwskiego Kółka Siemiatyckiego w leśnictwach Mętna, Radziwiłłówka i Mielnik, gdzie ubito: 2 dziki, 11 lisów, 3 jarząbki, 1 słonkę, 2 jastrzębie; królem polowania był p. Henryk Chełmicki, mając na rozkładzie: 4 lisy, 1 słonkę i 1 jastrzębia.

—o— Dn. 21 września Smorgońskie Kółko Myśliwskie urządziło na terenach wsi Szutkowo obławę na wilki, z udziałem 22 strzelców i 70 naganiaczy. W 1-szym miocie p. Augustynowicz zabił młodą wilczycę, a p. Brzeziak, leśniczy — lisa. W 2-gim miocie dano 4 strzały do wilka, który uszedł, farbując.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY.

† Ś. p. Zofja Dąmbska. — ,,Łowiec'' poświęca obszerne wspomnienie pozgonne ś. p. Zofji z Trzecieskich Dąmbskiej, zmarłej w Rudnej pow. rzeszowskim w 88 roku życia, pisząc o niej między innemi:

„W zadziwiający wprost sposób rozumiała i odczuwała piękno prawdziwego łowiectwa. Będąc żoną znakomitego myśliwego, ś. p. Józefa Godziemby z Lubrańca, goszcząc swego czasu na polowaniach w Rudnej takich łowców, jak ś. p. Kazimierza Wodzickiego z Olejowa, wyrobiła w sobie ogromne ukochanie przyrody, a łowiectwo pojmowała bardzo wysoko".

Ś. p. Ignacy Jasiński, hodowca i treser psów myśliwskich, zmarł w Strzelnie (Wielkopolska).



— **Tow. Łow. Wojew. Wileńskiego.** — Na zebraniu Zarządu Towarzystwa Łowieckiego Województwa Wileńskiego, odbytem d. 10 października, postanowiono zwołać nadzwyczajne zebranie na dzień 25 listopada, w sprawie zmiany statutu.

— **Tragiczne wypadki z bronią.** — We wsi Łubnice pod Kępną w Wielkopolsce, p. Antoni Warga na polowaniu tak nieostrożnie wsiadał z fuzją na wóz, na którym siedziała córka jego, 18-letnia Anna, zamężna od dwóch miesięcy, że fuzja wystrzeliła, raniąc ją śmiertelnie. Po upływie dwóch godzin zmarła z upływu krwi.

Józef Misiuro z Huty Lisiczańskiej pod Lidą, zastrzelił swego szwagra, Jana Łukasiewicza, podczas polowania w mniemaniu, że to zbliża się dzik. Było to nieprawne polowanie kłusownicze.

— **Z warszawskiego zwierzyńca.** — Ptaszarnia Ogrodu Zoologicznego wzbogaciła się o cenny okaz sroki yukatańskiej z Ameryki Środkowej. Ptak odznacza się wyjątkowo efektownem upierzeniem; skrzydła posiada ciemno-niebieskie, grzbiet nieco jaśniejszy. Jest okazem bardzo rzadko spotykanym. Z wielkich, europejskich ogrodów zoologicznych tylko ogród londyński i frankfurcki posiadają takie okazy.

— **Odznaczanie myśliwych w Niemczech.** — Powszechny Niemiecki Związek obrony łowiectwa obdarzył w roku zeszłym szereg osób różnemi odznaczeniami. Ogółem rozdano 5 tarcz honorowych, 74 medale srebrne. Pozatem w tymże roku różne związki lokalne rozdały blisko 800 odznak.

Dalej rozdano tam: za przytrzymanie kłusowników 411 nagród w sumie 20.020 m.; za tępienie drapieżników — 28 na sumę 894 m.; na sprowadzenie zwierzyny dla odświeżania krwi 1715 m.; subsydja dla stacji doświadczalnej broni i Towarzystwa wiedzy myśliwskiej — 2177 m. Na różne inne cele łowieckie — 6.556 m.

Bibljografja Łowiecka.

„Słowo" w Dodatku Łowieckim za wrzesień zamieściło następujące prace: „Łosie giną..." Michała K. Pawlikowskiego. — „Pieśń głuszca" L. Pac - Pomarnackiego. — „Legendarne dziki" Mieczysława Mniszka Tchórznickiego. — „Ze strzelbą w futerale" Michała K. Pawlikowskiego. — „Raz jeszcze prosimy" Redakcji. — „Z T-wa Łowieckiego Wojew. Wileńskiego". — „Kronika Myśliwska" z Przyp. Red.— „Notatki Myśliwskie" Leopolda Pac - Pomarnackiego. — „Z literatury łowieckiej" M. P. — „Łowiecka skrzynka pocztowa" M. P. — Ilustracje: „Trofea wiosenne" I. Bukłada. — „Jednego ranka... (W puszczy Hołubickiej)". — „Powrót z polowania" S. Bukłada.

Wiadomości handlowe.

— **Hodowla lisów srebrzystych.** — Znany hodowca, p. J. Broscheit ostrzega w „Rolniku" przed nielicencjonowanymi lisami srebrzystymi, ponieważ nowicjusz nie jest nigdy w możności stwierdzić wartości zwierząt przy obejrzeniu i naraża się na niebezpieczeństwo nabycia nielicencjonowanych lisów, których przychówku nie można sprzedać, a co za tem idzie, skórki ich przedstawiają mniejszą wartość, niż wydana karma. Gdy się bierze za podstawę dobrze licencjonowany materjał hodowlany, rentowność hodowli lisa srebrzystego przedstawia się mniej więcej w ten sposób:

Obliczenie dochodu na urządzenie hodowli lisów srebrzystych ,rozpoczynając hodowlę z 5-ma parami na podstawie sprzedaży zwierząt hodowlanych.

Przyrost liczono niżej, niż normalnie 100%. Normalny przyrost wynosi 150 — 200%.

Kapitał zakładowy: 5 par lisów dol. 1250 = dol. 6250, budowa fermy i ogrodzeń dla 5 par dol. 1680= dol. 7930.

Koszt utrzymania: karma dla 10 lisów łącznie z rzutami dol. 700, stały hodowca dol. 500 = dol. 1200; — razem koszta ogólne dol. 9130.

Dochód: 5 par lisów hodowlanych po dol. 1000 = dol. 5000, ceny bardzo nisko liczono; potrącając koszt utrzymania dol. 1200, amortyzacja 10% od dol. 7930 dol. = dol. 1993. — Czysty zysk dol. 3007.

Ceny materjału hodowlanego lisów dla sprzedaży zostały umyślnie nisko obliczone, tak, że kalkulacja została skrupulatnie przeprowadzona.

— **Futra.** — Ceny hurtowe futer w zakupie loco Bydgoszcz. Zające za sztukę 1.50 zł., króliki zł. 2 za kg. Lisy zł. 10 — 40 za sztukę, kuny kam. 70 — 80 za sztukę, kuny leśne 100 — 120 za sztukę. Tchórze zł. 5 — 20 za sztukę, wydry zł. 50 — 80 za sztukę. Tendencja słaba. Futra staniały we wszystkich gatunkach.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za powtórny numer — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr., najmniejsze — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: za tekstem milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; ½ — 225 zł.; ¼ — 115 zł.; ⅛ — 60 zł Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. Agentom niewolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. **ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 7-98.**

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobodę czynienia w nich poprawek i skrótów. Redakcja nie odpowiada na zapytania, kiedy będzie drukowany artykuł, gdyż zależy to od całokształtu numeru i od posiadanego przez Redakcję materjału.—Redaktor przyjmuje w poniedziałki od godziny 5½ do 6½ wieczorem. Biuro czynne od 9 do 3 i od 5 do 7, w sobotę do g. 3.

Redaktor: **Walenty Włodzimierz Garczyński.** Wydawca: **Polski Związek Stow. Łowieckich.**

Pies i Szloma.

— Nie bójcie się, Szloma, psa; nie wiecie, że kiedy pies głośno szczeka, to nie ukąsi.

— Ja o tem wiem, ale czy wasz pies też o tem wie?

OGŁOSZENIA DROBNE.

Dumas o jeleniu.

Aleksander Dumas pokazywał pewnej cudzoziemce Ogród Zoologiczny w Paryżu. Dama ze zdziwieniem ogląda jelenia z podwójnymi rogami.

— Co to za zwierzę? — pyta.

— To... to... jak to pani powiedzieć? Sądzę, że to poprostu wdowiec, który się powtórnie ożenił...

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.